ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 30 grudnia 1922 roku. № 52.

Jack London. tł. Haliny Evert.

FRANCIS SPAIGHT.

2) Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

Stan kucharza podniecił O'Briena

— „Uspokój się, Gormanie" — rzekł—„i zrób, co ci każą. Ja przecież wiem, że to nie twoja wina. Niech mnie pan nie rusza" — zwrócił się do kapitana, który mu położył ciężką rękę na ramieniu—„nie trzeba mnie trzymać siłą. Będę stał spokojnie".

— „Przestań w tej chwili z tem wyciem i przynieś pokrywę od rondla" — rozkazał Behane Jehnny Sheehan'owi, popierając swe słowa silnem uderzeniem w głowę.

Chłopak, nieledwie dziecko jeszcze, wypełnił polecenie; był tak słaby z głodu, że czołgał się i pełzał po pokładzie. Behane, odbierając naczynie, nagrodził chłopca nowem uderzeniem.

O'Brien zdjął kurtkę i obnażył prawe ramię. Dolna warga drżała mu ciągle, lecz nie tracił panowania nad sobą. Otworzono scyzoryk kapitana i podano go Gormanowi.

— „Mahoney, jeżeli powrócisz do domu, opowiedz wszystko mojej matce"— poprosił O'Brien.

Mahoney skinął głową.

— „To morderstwo, podłe, wstrętne morderstwo—rzekł—ale śmierć tego chłopca nie przyniesie wam korzyści. Pamiętajcie moje słowa. Nie przyniesie".

— „Przygotujcie się" — komenderował kapitan — „Sullivan niech trzyma pokrywę, zbliż ją i uważaj, aby nic nie rozlać. Każda kropla jest cenna".

Gorman zdobył się na wysiłek ale osłabł ogromnie, a nóż był tępy. Przytem o mało go nie upuścił, tak mu ręce drżały. Wszyscy trzej chłopcy stłoczyli się w jedną gromadkę na boku, trzęsąc się i płacząc. Marynarze, za wyjątkiem Mahoney'a, zgromadzili się wokół swej ofiary, wyciągając szyje, aby lepiej widzieć.

— „Bądźże mężczyzną, Gormanie"—upomniał raz jeszcze kapitan.

W histerycznym, nagłym ataku energji, nieszczęśliwy kucharz zatopił błędnie nóż w ramieniu O'Briena. Kilka żył zostało rozciętych; Sullivan podstawił naczynie. Otwarte żyły wyglądały z ran, ale nie spłynęła z nich ani jedna kropla rudawego płynu. Nie było wcale krwi, żyły wisiały suche i puste. Nikt nie odważył się ani na jedno słowo, tylko milczące a ponure postacie kołysały się za każdem poruszeniem statku. Wszyscy patrzyli na te niezrozumiałe i potworne zjawisko: próżne żyły istoty jeszcze żyjącej.

— „To przestroga" — krzyknął Mahoney — „dajcie pokój chłopcu. Pamiętajcie moje słowa: jego śmierć nie przyniesie wam nic dobrego".

— „Trzeba spróbować pod łokciem, pod lewym łokciem, tam, gdzie bliżej serca"— rzekł wreszcie kapitan jakimś ochrypłym, obcym sobie głosem.

— „Daj mi nóż" — rzekł ostro O'Brien, odbierając scyzoryk z rąk kucharza, — nie mogę patrzeć, jak mnie zarzynasz".

Z zupełnym spokojem przeciął żyłę pod lewym łokciem, ale krew i tym razem nie popłynęła.

— „Nic z tego nie będzie"— oświadczył Sullivan — „najlepiej skończyć z nim odrazu, przerzynając mu gardło".

Napięcie było zbyt silnem dla chłopca.

— „Nie róbcie tego"—zawołał— „i w gardle też nie będzie krwi. Dajcie mi choć chwileczkę czasu. Zimno mi i jestem chory. Pozwólcie mi się położyć i przespać troszkę. Kiedy się rozgrzeję, krew popłynie".

— „Po co to wszystko?"— opierał się Sullivan — „napewno nie będziesz mógł usnąć. A jak nie będziesz spał, to się nie rozgrzejesz".

— „Jednej nocy, w domu, byłem chory"—opowiadał pośpiesznie O'Brien — „i doktór też nie mógł mi puścić krwi. Ale kiedy się przespałem i rozgrzałem w łóżku, krew sama popłynęła. Bóg świadkiem, że mówię prawdę. Nie znęcajcie się nademną!"

— „Żyły ma już otwarte" — szepnął kapitan — „więc po co go narażać na dłuższe cierpienia. Skończmy lepiej odrazu".

Wszyscy rzucili się na O'Briena, ale ten uciekał.

— „Oby was pan Bóg skarał!— krzyknął. — Sullivan puść mnie. Zemszczę się po śmierci; będę cię straszył we dnie i w nocy; będę cię straszył, dopóki nie umrzesz".

— „To świństwo"—oburzał się Behane—„gdybym ja był wyciągnął zły los, byłbym się pozwolił zabić bez oporu i chętnie umarł dla kolegów".

Sullivan schwycił za włosy nieszczęsnego chłopca, ku któremu rzuciła się natychmiast reszta marynarzy. O'Brien wyrywał się i rzucał wśród rąk, chwytających go ze wszystkich stron. Mały Johnny Sheehan wybuchnął dzikim krzykiem, na który nikt nie zwrócił uwagi. O'Briena rozciągnięto na pokładzie, kładąc mu pod szyję pokrywę rondla. Gormana wypchnięto naprzód, ktoś wcisnął mu w rękę wielki nóż.

— „Bierz się do twojej roboty"— krzyczano doń.

Kucharz nachylił się nad ofiarą, lecz spotkawszy się z jej spojrzeniem, znów się zawahał.

— „Jeżeli stchórzysz, uduszę cię własnemi rękoma"! — ryczał Behane.

Cały potok gróźb i przekleństw sypał się ze wszystkich stron na kucharza, ten jednak opierał się.

— „Zobaczmy, czy ma w żyłach więcej krwi, niż O'Brien"—zawołał wreszcie Sullivan.

Behane schwycił Gormana za włosy i przechylił głowę jego w tył, podczas gdy Sullivan starał się wyrwać mu nóż. Ale Gorman trzymał go kurczowo.

— „Puśćcie mnie, a zrobię wszystko"!—wył z przerażenia — „nie zabijajcie mnie! zrobię, co chcecie"!

— „No więc pamiętaj"—groźnie upomniał kapitan.

Gorman pochylił się naprzód, spojrzał na chłopca, poczem zamknąwszy oczy wyszeptał parę słów modlitwy. Wreszcie, nie podnosząc powiek, zrobił to, do czego go zmuszano. O'Brien wydał głośny okrzyk, który przeszedł natychmiast w przedśmiertne łkanie. Marynarze trzymali go, dopóki konwulsje nie przeszły, poczem położyli go na pokładzie. Głodni i zniecierpliwieni nalegali na Gormana, aby się śpieszył z przygotowaniem posiłku.

„Dajcie temu spokój, rzeźnicy"— rzekł nagle Mahoney. — „Już wam to teraz nie będzie potrzebnem. Śmierć tego chłopca na nic się nie przyda. Wylej to do wody, Behane".

Behane, który jeszcze obiema rękoma trzymał pokrywę od rondla, spojrzał na morze; poczem zbliżył się do balustrady i wrzucił do wody naczynie wraz z jego zawartością. Duży statek zbliżał się ku nim, oddalony nie więcej jak o jedną milę. Byli wszyscy tak zajęci zabijaniem chłopca, iż żaden nie patrzył na horyzont. Teraz spoglądali wszyscy— jesny metalowy ster przecinał fale, jak złocisty nóż, zwinięte żagle poruszały się leniwie za każdem kołysaniem wiatru, wierzchołki wysokich masztów kłaniały się silniejszym falom. Nikt nie przemówił ani słowa.

Gdy statek zbliżył się na odległość jednego węzła, kapitan „Francis Spaight" oprzytomniał nieco i kazał przykryć żaglem ciało O'Briena. Ze statku spuszczono łódź ratunkową, kierując ją ku rozbitkom. John Gorman roześmiał się nagle. Roześmiał się cicho, łagodnie na razie, ale za każdem uderzeniem wioseł śmiech jego spazmatycznie wzrastał. Ten obłędny wybuch był pierwszym dźwiękiem, jaki powitał zbawczą łódź i jej oficera, wdrapującego się na pokład.

Ludwik Dumur. Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

11)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

Ostatni raz, gdym tam był, przeczytałem na Komendanturze i na kilku domach to ogłoszenie:

EGZEKUCJA.

Wyrokiem sądu wojennego z dnia 13-go września 1916 r. niejaki Leopold Moulard, Francuz, wieku lat 20, bezżenny, giser z Dun-sur-Meuse,

skazany został na karę śmierci,

ponieważ znaleziono przy nim rewolwer i naboje.

Wyrok wykonano dziś rano.
Skazaniec został rozstrzelany.

Etappen Komandatur
Steinmetz
Oberstu. Kommandant.

Dun-sur-Meuse,
15 września 1916 r.

Przypomniał mi się mój rewolwer, który dałem Julince... Byłaż to pośrednia odpowiedź, jaką los mi dawał?.. Czyż należało wyrzec się wszelkiej nadziei?..

Tej nocy ani na chwilę nie zmrużyłem oka... Kołysany hukiem armat, przeżywałem wszystkie godziny, naprzemian urocze, tajemnicze, rozkoszne lub okrutne mojej miłości.

Chwilami zdawało mi się, że ją widzę, że mi daje znaki, żebym szedł za nią. Gdzie?.. Ponure armaty Verdunu biły, jak bębny żałobne... Korowód zmarłych wstawał i sunął pogrzebowym orszakiem po czerwonym widnokręgu... Gdziem ja był?.. i co robiłem w tym sztabie, prawie na tyłach armji, podczas gdy moi bracia cierpieli i ginęli?.. Czyż pragnąłem jeszcze unikać niebezpieczeństwa, aby ocalić życie złamane, aby je zachować dla szczęścia już niemożebnego?.. Nie, nie... wstyd mnie ogarniał... Ten łachman moralny, jakim się czułem obecnie, nic już nie był wart i nie zasługiwał, aby go oszczędzać... Zapragnąłem iść tam, na front, w pierwsze szeregi!..

Pewnego dnia, gdy generał von Lochow przybył do Damvilliers, przedstawiłem mu moją prośbę.

— Bardzo dobrze. Gdzie pan życzysz sobie być posłanym?

— Gdzie Wasza Ekscelencja rozkaże.

— Nie boisz się pan niczego?

— Niczego.

— A więc poślę pana...

Zajrzał do swoich notatek.

— Gdzie, Ekscelencjo?

— Do Douaumont.

Słowo to padło, jak cięcie szpady. Zadrżałem. Była to niemal pewna śmierć.

— Wedle rozkazu, Ekscelencjo.

Pojechałem 10-go października z moim własnym ordynansem Schmutzem. W ciągu godziny zajechaliśmy małą bryczuszką do Ornes, gdzie karawana złożona z trzystu ludzi miała wyruszyć do Douaumont. Była to bardzo niebezpieczna podróż. Nie mogła się odbywać nocą gdyż straszliwy stan gruntu czynił wszelki pochód w ciemnościach niemożliwym; w księżycową noc czyhało na nas innego rodzaju niebezpieczeństwo. Trzeba więc było poprzestać na dniach mglistych, kiedy to można było widzieć jako tako, a samemu nie być widzianym.

Tego dnia pogoda sprzyjała nam wyjątkowo. Mgła nie będąc zbyt gęstą przesłaniała wszystkie przedmioty, które na odległość dwustu metrów roztapiały się w niewyraźnej szarzyźnie.

Kolumna nasza składała się w połowie z tragarzy, niosących skrzynie, tłomoki, worki z chlebem, beczki z wodą, gąsiory piwa i nafty. Mieli oni kije okute i niektórzy nieśli pęki sznurów, któremi mieli się związywać po kilku jak alpiniści. Drugą połowę tworzyli piechurowie, dążący na przednie linje, mitraljerzyści, pionierzy i sanitarjusze. Wszystko to maszerowało pod dowództwem kapitana, który znał okolicę i pod kierunkiem przewodnika, który ją znał jeszcze lepiej, bo bez pomocy ludzi doświadczonych niebezpiecznem było zapuszczać się na ten grunt zdradliwy i wciąż zmienny.

Trudno sobie wyobrazić rozpaczliwszą pustkę nad tę drogę. Wszędzie widniały ośmiomiesięczne ślady walki. Szczątki mordowanych pułków rozwłóczyły się po przesiąkłej zgnilizną i rozkładem niepogrzebionych trupów ziemi. Porwane druty telefoniczne i splątane kłęby kolczastego drutu czepiały się pordzewiałych rur armatnich i potrzaskanych skrzyń z amunicją.

Zburzone okopy wyglądały jak błotniste rowy. Coraz częściej, w miarę jak posuwaliśmy się wśród

tej gehenny, otwierały się dziury wyrwane przez obusy, istne kratery, głębokie na kilka metrów o wzdętych, oślizgłych krawędziach, które trzeba było obchodzić z największą ostrożnością. Wnętrza ich wypełniała gęsta, lepka woda, w której grzęzły strzępy mundurów, kaski, karabiny, potworne szkielety końskie i rozkładające się trupy. Nic tu nie żyło, poza naszą znużoną śmiertelnie karawaną, ani jeden zwierz, ani szczur, ani ptak, ani owad, ani robak. Nie było widać nawet kruka. Trucizna wszystko wytępiła.

Jakoż w pewnej chwili tego okropnego marszu dał się słyszeć skrzeczący głos kapitana:

— *Alle Gasmasken in Ordrung.* (Wszystkie maski od gazów w pogotowiu).

Posuwaliśmy się coraz wolniej. Raz po raz dawały się słyszeć krzyki i przekleństwa. To nasi ludzie pośliznąwszy się wpadali do jakiejś dziury, babrząc się w lepkiem błocie, z którego wydobywano ich z trudem zawalanych i cuchnących. Inni mdleli ze znużenia lub ze strachu, i tych cucono, bijąc ich kolbami lub kłójąc ostrzem bagnetów. Innych znów porywały straszliwe boleści i torsje, i biedacy tarzali się w nich po ohydnem bagnie, dwóch utonęło; trzech tragarzy padło od wybuchu jakiegoś zabłąkanego granatu; jakiś żołnierz zdjęty rozpaczą i szałem nie chciał za nic iść dalej, i trzeba było palnąć mu w łeb z rewolweru.

Nareszcie dotarliśmy do fortu.

Pod osłoną jego grubych murów ogarnęło nas niewysłowione poczucie ulgi i bezpieczeństwa. Jak nieżywy padłem na posłanie w oficerskiej izbie, bez jedzenia, ugasiwszy tylko dręczące mnie pragnienie miarką wody z koniakiem i wnet usnąłem jak kamień.

Ale to trwało krótko. Nagle uczułem, że ktoś mną wstrząsa gwałtownie. Otwarłem zaspane oczy i zobaczyłem ze zdumieniem jakąś istotę wpół ludzką, wpół zwierzęcą, której potworna głowa wydłużała się w ryj pod dwiema wypukłemi ocznemi gałami. Wydało mi się, że jestem igraszką sennej zmory.

— Co to? — wybełkotałem przestraszony, podczas gdy potwór wstrząsał mną coraz gwałtowniej.

— *Gas-Alarm!*

— *Was?*

— *Gas-Alarm!.. Herr Oberleutnant... Gas-Alarm!*

Poznałem zduszony i wylękły głos mego ordynansa Schmutza, a jednocześnie dziwna, ckliwa i odurzająca woń połechtała mi nozdrza, Porwałem moją maskę i przytwierdziłem ją hermetycznie. W korytarzach warczały bębny. Z zewnątrz dochodziły głuche wybuchy. To Francuzi zasypywali nas lawiną duszących obusów. Ciężki gaz wnikał przez drzwi, przez najdrobniejsze szczeliny w murach do wnętrza fortu i roznosił po naszych podziemnych schronieniach swe zabójcze wyziewy.

Moi towarzysze z kazamaty, oswojeni zapewne z tem groźnem niebezpieczeństwem, odwracali się na posłaniach, automatycznym ruchem nakładali maski i zasypiali natychmiast.

Co do mnie, nie mogłem już zmrużyć oka. Z przerażeniem spoglądałem na te tajemnicze zniekształcone postacie, których twarzy nigdy może nie miałem zobaczyć, gdyż, jak się wprędce dowiedziałem, mieszkańcy Douaumont, na wzór trędowatych, prawie zawsze chodzili w workach.

O ósmej poszedłem przedstawić się komendantowi fortu, majorowi Marcnadsen. Przyjął mnie życzliwie.

— Życie nie jest tu rozkosznem — rzekł — ale jeszcze mniej rozkosznem jest w okopach, gdzie wkrótce zapewne pana wyślą, bo nieprzyjaciel zabija nam mnóstwo oficerów.

Skłoniłem się w milczeniu. Cóż mnie to mogło teraz obchodzić?

Przez dziesięć dni włóczyłem się po forcie, oczekując nowych rozkazów.

Nagle 22 go października straszliwa kanonada rozpętała się nad nami. Potężne ściany fortu trzęsły się, jak okręt, miotany wichrem. Jedno sklepienie pękło. Wszystkie nasze łączniki były przerwane. Rezerwy nie przesyłały żadnych wiadomości. Tego tylko mogliśmy się domyślać, że nieprzyjaciel przygotowywał ofenzywę. Powoli front opróżniał się z ludzi, którzy szli wzmacniać rezerwy, a wieczorem wracali ze znacznemi stratami pogrążyć się w zrujnowanych czeluściach podziemi.

Wkrótce przyszła na mnie kolej. Kapitan artylerji Prokins postawił mnie na czele stu ludzi, których miałem poprowadzić do kamieniołomów Hamasdromont.

Wyszliśmy nocą. Ale zaledwie znaleźliśmy się na skłonie szańca, gdy dwóch z naszych ludzi zmiotła nieustająca ani na chwilę artylerja nieprzyjacielska. Szliśmy, a raczej pełzaliśmy gęsiego, przewodnik na przodzie, ja — w środku. Grzęźliśmy w cuchnącem błocie, czepiając się jakichś oślizgłych, podejrzanych kształtów, które w ciemnościach niepodobieństwem było rozróżnić. Raz po raz przeraźliwy krzyk mieszał się z hukiem armat. To padał jeden z naszych. Wielkie, purpurowe dymy rozwłóczyły się po czarnem, jak atrament, niebie.

Nareszcie o świcie, po nadludzkich wysiłkach, zmniejszeni o połowę, dobrnęliśmy do kamieniołomów. Strzegły ich trzy bataljony rezerwy, prawie nietknięte, ale w opłakanym stanie ducha na skutek trzydniowego bombardowania i braku posiłków. Długie na jakieś trzysta metrów, szerokie na sześćdziesiąt, a wysokie na dwadzieścia, kopalnie te zawierały dwa piętra kazamat mocnych i bezpiecznych.

To też spaliśmy kilka godzin w jednej z tych piwnic na ciepłej słomie i była już dziesiąta, gdy ocknęliśmy się przy warkocie wściekłej kanonady. Gęsta mgła przesłaniała wszystko dokoła. Nagle o dwunastej huk ustał. Nastąpiła krótka chwila milczenia, poczem w odległości jakichś dwustu metrów zaklekotały mitraljezy i zaczęły pękać granaty. A równocześnie wynurzyli się z mgły zbiegowie z przednich posterunków i pędzili ku wnijściom kopalni, wrzeszcząc:

— Francuzi! Francuzi!

I wślad za tymi uciekinierami biegły jakieś cienie błękitne, olbrzymie i dokoła mitraljez wywiązała się zacięta walka. Napastnicy, których liczba zwiększała się z każdą chwilą, atakowali bagnetami naszych, a ci, oszołomieni nagłością i gwałtownością ataku, cofali się w nieładzie. Nasze mitraljezy dostały się w ręce nieprzyjaciela, który je przeciw nam obrócił.

Mając sobie poleconą obronę dolnych kazamat, zorganizowałem opór. Ale przez ten czas inne kompanje francuskie wdzierały się już do naszego blockhauzu przez górne piętro. Znalazły tam składy granatów i wnet robiły z nich użytek.

Kartaczowani z dołu, petardowani z góry, byliśmy zgubieni, osaczeni na podobieństwo barsuków w norze. Dym napełnił podziemia; ciała kłębiły się, padały, a wnet z tego okropnego chaosu podniosła się, zatknięta na karabinie, biała chustka.

Co do mnie, udało mi się wymknąć bocznem wyjściem, które nieprzyjaciel przeoczył. Byłem ranny w nogę, ale ta rana, aczkolwiek bardzo dotkliwa, nie przeszkadzała mi iść. Za mną wlókł się mój wierny Schmutz, który, mając szczękę wyrwaną, wydawał niezrozumiałe dźwięki.

Istnym cudem dowlekliśmy się

do jakichś okopów, z wnętrza których podziemny głos krzyknął nam: „*Herab!*".

W chwilę potem znaleźliśmy się wśród nieopisanego chaosu porozpruwanych worków, podziurawionych rur, nawpół popalonych wiązań i belek, pomiędzy któremi walały się szczątki członków ludzkich, broni, narzędzi i drutów. Jacyś ludzie obłoceni, brunatni, czerwoni ruszali się tu jeszcze, podobni do olbrzymich robaków, babrzących się w błocie. Dwie fale francuskie zalały te okopy, zniosły je i potoczyły się dalej, unosząc ze sobą, niby powyrywane pęki algów, gromady jeńców. Ci, co pozostali, znajdowali się w stanie, graniczącym z obłędem.

Nagle dały się słyszeć wybuchy, zbliżające się szybko wśród straszliwej wrzawy. Granaty padały zewsząd. Jednocześnie na krawędziach ukazały się torsy w mundurach Kaki, wymachując rękami, z których każda trzymała granat.

Byli to czyściciele okopów.

Wtedy powstał dantejski popłoch wśród potępieńców podziemnych, z których każdy usiłował uciec przed szatanami i ogniem niebieskiem.

Podniosły się w górę rozpaczliwie błagalne ramiona i rozdzierające wołania:

— *Kamerad! Kamerad! Pardon! Pardon!*

Jakiś stary podporucznik żuawów z szablą w jednej ręce, a rewolwerem w drugiej stanął przed nami, krzycząc:

— Wygnieść mi to całe robactwo. Żadnych jeńców.

Jednooki kapitan zaskrzeczał:

— Stójcie! Stójcie! Poddajemy się.

— Zapóźno, łajdaku! Trzeba to było przedtem powiedzieć. A naprzód... pocoście tu przyszli?

I wystrzałem z rewolweru strzaskał mu twarz.

Oparty o ścianę, z brauningiem w garści gotowałem się drogo sprzedać życie, gdy uczułem, że mnie coś podnosi w górę i rzuca w pustkę pod natłokiem spadających na mnie ciał. Dał się słyszeć potężny wybuch. Dotkliwy ból przeszył mi serce. Zemdlałem.

Gdy odzyskałem przytomność, dusząc się, pławiąc w lepkich wydzielinach, jedyną moją myślą, instynktownem pragnieniem, bez względu na żadne inne niebezpieczeństwo, było wydostać się z pod tego nieznośnego ciężaru, który mnie przygniatał. Ale zaledwie poruszyłem się, straszliwy ból przeniknął mnie nawskróś. Zrozumiałem, że jestem ciężko ranny. Nie mogłem przecież pozostać pod tym stosem trupów w oczekiwaniu okropnej śmierci.

Nadludzkim wysiłkiem dźwignąłem się z pośród ciał, wrzeszcząc, jakgdyby mnie obdzierano ze skóry, i wydostałem się na wolną przestrzeń. O kilka metrów nademną wejście do okopu ukazywało skrawek nocnego nieba.

Miałem prawą rękę zdrową. W kieszeni odnalazłem latarkę elektryczną. Działała. Obejrzałem się przy jej świetle. Nogę miałem spuchniętą, ranę w stopie—zaognioną. Lewa ręka była strzaskana. Niedość na tem. Straszliwe rwanie w okolicy kości pacierzowej świadczyło o jakiemś wewnętrznem uszkodzeniu.

Z trudem, potykając się o trupy i różnego rodzaju szczątki, wygramoliłem się z okopu. Noc była głęboka. Olbrzymie gwiazdy otwierały przerażone oczy nad polem rzezi.

Czas jakiś wlokłem się na traf i już miałem paść, wyczerpany bólem, gdy dał się słyszeć odgłos kroków. Zamajaczyły sylwetki maszerującego oddziału. Żołnierz francuski z bagnetem na karabinie pojawił się obok mnie:

— Co tu robisz?.. Dalej... jazda, do szeregu.

Schwycił mnie, popchnął i nagle znalazłem się wśród gromady jeńców, których pędzono ku południowi.

Rzuciłem znękane spojrzenie na moich najbliższych towarzyszy. Byli posępni i wyczerpani. Jakiś feldfebel szedł obok mnie.

— Gdzie idziemy?—rzekłem.

— Nie wiem.

Spytałem go o losy bitwy.

— *Alles kaput.* Douaumont wzięte.

Poczem, zauważywszy, że idę z trudnością, zagadnął:

— Pan ranny?

— Tak.

— No, to będą pana leczyli w ambulansie francuskim.

— Jeżeli dojdę. Czy możesz mnie podtrzymać?

— Wedle rozkazu *Herr Oberleutnant*.

— O! rzekłem — niemasz już *Herr Oberleutnant'a*. Skończyło się. Obaj jesteśmy tylko ludźmi.

Switało, gdy przekroczywszy potężne mury jakiegoś ufortyfikowanego wnętrza, znaleźliśmy się nad brzegiem Meusy. W przeczystem powietrzu wczesnego ranka srebrna toń wód odbijała wstrząsający obraz zrujnowanego miasta, wznoszącego się amfiteatralnie nad rzeką. Białe, szare, przejrzyste, nawpół rozwalone szczerząc poczerniałe belki i wytrzeszczając puste okna, sterczały szeregi umęczonych domów, a ponad niemi Katedra Najświętszej Panny Verduńskiej wznosiła swoje dwie wieże niby dwoje ramion błagalnych i wołających o pomstę do nieba.

Przed nami, za mostem potężna brama brzuchata, najeżona wieżyczkami, prowadziła wielkim sklepionym łukiem do miasta.

Plac, na którym staliśmy, zapchany był jeńcami. Szeregiem po dwóch przechodzili most i niknęli w bramie. Błękitni dragoni na rudych koniach z lancą w garści pilnowali tego pochodu. Czekaliśmy długo na naszą kolej.

Swit stawał się jutrzenką. Pierwsze różane blaski barwiły białe ruiny, wieże katedry i przeglądały się w wodach Meusy. Nareszcie ruszyliśmy. Szedłem oparty wciąż na ramieniu mego feldfebla. Minąwszy most i bramę, weszliśmy w ulicę, będącą jednem, okropnem rumowiskiem, poczem skręciliśmy na prawo i nagle otworzył się przed nami obszerny plac, obsadzony wojskiem i pełen sanitarjuszy, białych fartuchów lekarzy i kornetów sióstr miłosierdzia. Posterunek Czerwonego Krzyża rozpiął tu swoje namioty.

Lewą stronę placu zajmował wielki gmach, o wysokim połkulistym frontonie i oknach pozasłanianych workami piasku. Na kamiennym tarasie, do którego wiodło ośm stopni, stał nieruchomy i sztywny generał francuski, przed którym defilowali jeńcy. Miał twarz nieubłaganą i posępną o zaciśniętych ustach, które mu ją przecinały niby straszliwa szrama. Małe przenikliwe oczki pod krzaczastemi brwiami i zjeżone czarne wąsy czyniły go podobnym do dzika.

Usłyszałem jakiś głos szepczący za mną:

— *Der General Mangin.*

W tej samej chwili pierwsze promienie wschodzącego słońca padły na gmach, a w świetle ich zabłysły złociste litery tworzące napis: *Palais de Justice.*

Okropny ból przeniknął mnie do szpiku kości. Uczułem, że tracę przytomność i osunąłem się w ramiona sanitarjusza.

A w ostatniem spojrzeniu, ponad generałem Mangin'em, ponad świetlistym napisem Pałacu Sprawiedliwości zobaczyłem powiewającą na tle bladego, Verduńskiego nieba, poszarpaną, trójkolorową chorągiew Francji.

KONIEC.